



EGO ZOSTAWIAM ZA DRZWIAMI

Ubranie się od stóp do głów w ciuchy znanego projektanta

TEKST:
MAJA
VON HORN
ZDJĘCIA:
GOŚIA
TURCZYŃSKA

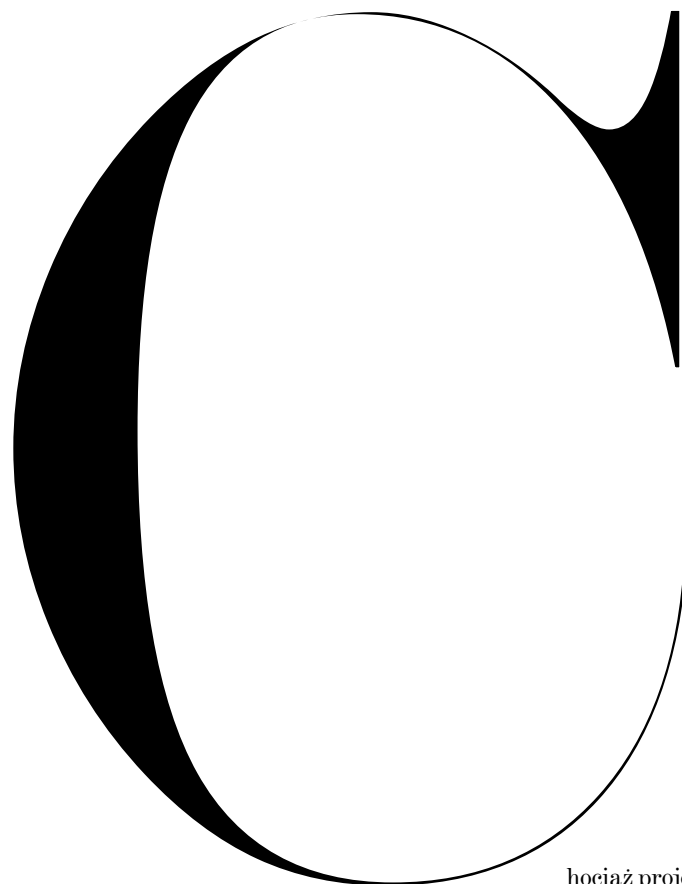
nie świadczy o dobrym stylu, tylko o swobodzie finansowej. To samo dotyczy urządzania wnętrz

– mówi **CLIFF FONG**, który zmienia słynące z przepychu kalifornijskie wille w bezpretensjonalne miejsca przyjazne do życia.

149



Od dziesięciu lat Cliff Fong prowadzi w Los Angeles Galerie Half – showroom z meblami vintage i sztuką nowoczesną. Można w nim znaleźć meble od XVIII-wiecznych szwedzkich antyków, przez duński i francuski modernizm, po dzieła z ostatnich dekad. – Przy urządzaniu wnętrza najważniejszy jest miks nieoczywistych elementów – mówi projektant.



hociaż projektował wnętrza domów Ellen DeGeneres czy Robbiego Williamsa, Cliff Fong niechętnie ujawnia szczegóły z życia swoich znanych klientów. I dobrze. Gwarancja dyskrecji to z pewnością jeden z powodów, dla których gwiazdy chcą pracować właśnie z nim. Gdy przeglądam zdjęcia kalifornijskich posiadłości, które urządzał, odnoszę wrażenie, że ich styl bliższy jest wyobrażeniom wnętrz europejskich niż hollywoodzkich. Okazuje się, że Cliff, nowojoreczyk z pochodzenia, który ponad dwadzieścia lat temu zamienił Wschodnie Wybrzeże na Kalifornię, właśnie z Europy czerpie większość wnętrzarskich fascynacji. – Gdy miałem 12 lat, mój ojciec, z zawodu dentysta, przeprowadził się z Nowego Jorku do Wiesbaden w Niemczech. Latałem do niego co roku na wakacje i wspólnie odkrywaliśmy Europę. Później, w wieku dwudziestu- i trzydziestu kilku lat pracowałem w branży mody jako stylistka oraz kupiec dla takich marek, jak Fred Segal czy Maxfield i często służbowo odwiedzałem Paryż, Londyn, Mediolan i Florencję – wspomina. – W tym samym czasie studiowałem historię sztuki na Uniwersytecie Stanowym Kalifornii. Jeżdżąc po Europie, mogłem więc umieścić to, co zobaczyłem, w szerszym kontekście, a przynajmniej miałem większą wiedzę o lokalnej architekturze, sztuce i designie niż przeciętny amerykański turysta – dodaje. Dzisiaj nie ma wątpliwości, że to właśnie podróżyom zawdzięcza taki, a nie inny gust, który stał się jego podstawowym narzędziem pracy.

Już jako nastolatek uwielbiał pehle targi. Wynajdywanie perełek designu wśród sterty rupieci stało się jego hobby. Swoje pierwsze trzy mieszkania urządził wyłącznie meblami i dodatkami wyszperanymi wśród staroci. Tak zdobywał zawodowe doświadczenie. Jest samoukiem. Dzisiaj, gdy projektuje wnętrza, największą frajdę sprawia mu łączenie tego, co współczesne, z rzeczami z początku i połowy XX wieku. Od dziesięciu lat jest też – zgodnie ze swoją pasją – współwłaścicielem i dyrektorem kreatywnym showroomu z meblami vintage i sztuką nowoczesną – Galerie Half w Los Angeles. Wszystko, co można tam kupić, od XVIII-wiecznych szwedzkich antyków, przez duński i francuski modernizm, po dzieła z ostatnich dekad, Fong wybiera osobiście. – Najważniejszy jest miks nieoczywistych elementów. W ten sposób unika się sztampy i banalności. Ubranie się od stóp do głów w ciuchy znanego projektanta nie świadczy o dobrym stylu, tylko o swobodzie finansowej. To samo dotyczy urządzania domów – wyjaśnia. – Jeżeli mieszkasz w domu w stylu hiszpańskim i wstawisz do niego kolonialne meble, nie wyjdzie z tego zbyt interesujące wnętrze. Podobnie, jeśli pójdziesz do salonu ze współczesnym wzornictwem i w jednym miejscu kupisz wszystko. Do tego nie trzeba uruchamiać wyobraźni, wystarczy karta kredytowa z wysokim limitem. Wnętrza, które się zapamiętuje, to te, w których stare miesza się z nowym, drogie z tanim, czuje się w nich luz, dystans, a nawet ironię i poczucie humoru właścicieli – tłumaczy.



Vogue
Polska
Mam
1
/
2019

154

„Zawsze wybieram neutralne barwy jako tło. Wtedy każdy akcent, na przykład czerwony fotel, architektoniczne krzesło, dzieło sztuki czy poszewka na poduszkę uszyta z tkaniny vintage, jest dużo lepiej wyeksponowany” – mówi Fong. Mocne kolory są przytłaczające, nie pozwalają się zrelaksować, a to jedna z ważniejszych funkcji domu.

Fong przyznaje, że do niedawna wiele rezydencji w Kalifornii było potwierdzeniem powiedzenia: „Za pieniądze klasy nie kupisz”. – Mam wrażenie, że przepych i ostentacyjne bogactwo są dzisiaj większym obciążeniem niż kiedyś – mówi. – Los Angeles jest bardziej wyluzowane od wielu europejskich miast. Tu wkładasz dzinsy bez względu na to, czy idziesz na plażę, do biura, na imprezę czy na kolację. Gdy na zaproszeniu napisane jest black tie, goście zamiast w smokingi i długie suknie ubiorą się po prostu na czarno – opowiada. – Próbuję przenieść tę swobodę do tutejszych domów – wyjaśnia. Gdy w 2015 roku gwiazda brytyjskiego popu Robbie Williams i jego żona, amerykańska aktorka Ayda Field Williams kupili ogromną willę w Beverly Hills, nie mieli wątpliwości, że człowiekiem, który najlepiej dopasuje nowy dom do ich osobowości i stylu życia, będzie Cliff. – Zacząłem od pozbycia się wszystkich wykończeń, głównie ciężkich marmurów i złocień, żeby wyczyścić wnętrze ze stylu starego Beverly Hills i naszkicować jego nową historię na czystej kartce – wspomina. Na powierzchni 2300 metrów kwadratowych znajduje się dziesięć pokoi, w których Robbie i Ayda mieszkają z trójką dzieci, ośmioma psami, dwoma kotami i żółwiem. – Oboje są bardzo otwarci, z dystansem do siebie i poczuciem humoru. Zależało mi, żeby dom to odzwierciedlał i chyba się udało – opowiada. Gdy pytam, jak przenosi się poczucie humoru z człowieka na wnętrze, odpowiada, że wykorzystał w tym celu dzieła sztuki ulubionych artystów gospodarzy. Nad starą skórzaną sofą Chesterfield i nad drewnianą konsolą w salonie wiszą więc prace Banksy’ego, w pokoju multimedialnym – grafiki Andy’ego Warhola z serii z krową, a w hallu stoi lampa Horse Floor marki Moooi w kształcie czarnego konia sporych rozmiarów. – Urządzenie takiego domu to duże wyzwanie, ale też marzenie każdego projektanta. Gdy wszystko było gotowe i minął stres remontowy, poczułem ogromną satysfakcję.

Na rynku jest wielu utalentowanych projektantów wnętrz z dobrym gustem, którzy mogą tylko pomarzyć o takiej klienteli. W czym więc tkwi klucz do sukcesu? – Na pewno nie dostawałbym zleceń od ludzi z pierwszych stron gazet, gdyby nie wieloletnia współpraca z Ellen, moją pierwszą i najwierniejszą klientką – przyznaje Fong. DeGeneres to w Stanach „household name”, nazwisko znane w każdym domu. Z prowadzącą jeden z najpopularniejszych amerykańskich talk-show, aktorką komediową, dziennikarką i aktywistką walczącą o prawa osób LGBTQ+ zaprzyjaźnił się, gdy jako dwudziestoparolatek ubierał ją na ważne wyjścia. Mówi o niej, że jest „matką chrzestną” jego kariery. – To było prawie dwie dekady temu, gdy Ellen przed wyjazdem w trasę ze swoim stand-upem zapytała, czy nie zaopiekowałbym się jej kotami. Mimochodem powiedziała też, że jeśli chciałbym coś zmienić w jej domu, trochę przemeblować, coś dodać czy poprawić, to żebym się nie krępował – wspomina. – Sam wtedy potrzebowałem zmiany. Z europejskich podróży nie przywoziłem już ubrań, tylko meble. Fascynowały mnie bardziej niż moda, coraz więcej czytałem o designie. Pozmieniałem więc u niej kilka rzeczy, dokupiłem krzesła, jedno Jeana Prouvé, mojego idola, drugie projektu Hansa J. Wegnera. Ellen spodobał się nowy klimat domu i zleciła mi zrobienie tego samego w pozostałych posiadłościach. Urządziłem dla niej wnętrza blisko trzydzieści razy. Teraz nie przyjmuję już od niej zleceń, nie chcę do końca życia zarabiać na przyjaciółce.

Dziś 50-letni Fong jest doświadczonym i dojrzałym zawodowcem. Twierdzi, że najgorsza rzecz, jaką może zrobić projektant wnętrz, to podążać za swoim ego. – Jest wielu takich, którzy tworzą ładne wnętrza, ale lubią zostawić u klienta ślad własnego stylu, tak by od razu było wiadomo, kto jest autorem. Sam staram się kierować zasadą, że przekraczając próg domu, który mam odmienić, siebie zostawiam za drzwiami. Nie zależy mi na tym, żeby mój styl był rozpoznawalny. Ważniejsze jest, żeby klient czuł się w domu tak dobrze, jak ja czuję się w swoim. Kiedy to się udaje, jestem szczęśliwy – tłumaczy.

Nowy dom Fonga znajduje się w dzielnicy Mid City w centrum Los Angeles. Weześniej przez prawie dziesięć lat mieszkał w mało popularnej Koreatown, w budynku z 1927 roku. – Mam dwa duże psy, marzył mi się ogród, jeżdżenie windą i życie z sąsiadami w apartamentowcu stało się dla mnie uciążliwe – tłumaczy. Chociaż mieszka tu już dwa lata, wnętrza nadal nie jest gotowe, w przypadku projektanta wnętrz proces urządzania własnego domu chyba nigdy się nie kończy. – Cały czas dodaję meble współczesnych francuskich designerów, coraz bardziej widać też moją fascynację Bauhausem – wylicza. Na ścianach wiszą prace między innymi Keitha Harringa czy Marka Kostabi. Bez względu na to, czy urządza dom dla siebie, czy dla klienta, przestrzega kilku prostych reguł. – Zawsze wybieram neutralne barwy na tło. Wtedy każdy akcent, na przykład czerwony fotel, architektoniczne krzesło, dzieło sztuki czy poszewka na poduszkę uszyta z tkaniny vintage, jest dużo lepiej wyeksponowany – opowiada. Moene kolory są jego zdaniem przytłaczające, nie pozwalają się zrelaksować, a to jedna z najważniejszych funkcji domu. Ponadto uważa, że każdy mebel czy przedmiot muszą mieć własną przestrzeń, żeby mogły „oddychać”. Gdy tego brakuje, pomieszczenie wysyła zbyt dużo wizualnych informacji. – Lubię wnętrza, które są lekkie dla oczu. Wolę też, gdy poszczególne elementy są trochę od siebie oderwane, pozornie niepasujące. Zabawnie wyglądają domy, w których przewija się jeden motyw, gdzie np. dywany są dopasowane do zastaw. Doceniam wysiłek, ale nie mógłbym w takim miejscu żyć i odradzam to również moim klientom. Dla mnie lepsze są wnętrza, które wydają się nieco „zużyte”, jakby ktoś zamieszkiwał je od dawna, nawet jeśli są świeżo po remoncie. Dlatego podobają mi się ślady użytkowania na meblach, skrzypiące podłogi. Wnętrze nie powinno być perfekcyjne – tłumaczy.

Gdy na koniec pytam, czy Los Angeles jest jego ulubionym miejscem na Ziemi, bez namysłu odpowiada, że nie. – Dużo podróżuję, do L.A. miło się wraca, bo jest tu na ogół ciepło. Brakuje mi jednak intelektualnego napędu, to miejsce ze wspaniałą naturą, ale ograniczonym życiem kulturalnym. Gdybym miał się gdzieś przeprowadzić, wybrałbym Paryż, który jest dla mnie przeciwieństwem Los Angeles. Mam też słabość do Europy Wschodniej, przez jakiś czas miałem nawet mieszkanie w Pradze, byłem kilka razy w Budapeszcie, Krakowie i Warszawie. Wiem, że polska sztuka współczesna ma się dobrze i chciałbym wkrótce odwiedzić kilka warszawskich galerii. Może przywożę coś do domu?